

Albert Boissiere.

Człowiek bez twarzy.

9

(Ciąg dalszy).

— Dlaczego, sam jeszcze nie wiem! Znalazłem u niego objawy szaleństwa erotycznego... najwięcej jednak zainteresowała mnie w nim utrata pamięci, udana czy też rzeczywista — najpewniej, raz udana, drugi raz istotna... Oprócz tego wszystkiego zaintrygowało mnie niezmiernie w nim to, iż nie pamiętając nic o sobie, ani o swych znajomych, doskonale natomiast miał wiadomości o mnie, o mem życiu prywatnym, o mych skłonnościach i przyzwyczajeniach.

Słowa Williama zdumiewały mnie. Oparłem się o krzesło, na którym siedziałem i zacząłem przypatrywać się lekarzowi, by przekonać się, czy przypadkiem nie drwi on ze mnie...

Tymczasem William mówił najspokojniej dalej: — Mogę dać ci jeszcze jedno wytłumaczenie mego lekkomyślnego postępu, a mianowicie to, iż między jego położeniem wówczas, a moim, znalazłem pewne podobieństwo...

— Podobieństwo?

— Tak, gdyż w tym czasie nie byłem i ja dotknięty tym szaleństwem erotycznym z powodu Łucyi Weill, co ty przypłacił utratą własnej twarzy?

— Dlaczego... mej własnej twarzy? — szepnąłem nieświadomie...

...Ach! czyżby William Duncan był również takim symulantem jak rzeźbiarz Barrabas i jego syn Polidor?... Nie! William był ciągle ofiarą naszego oszustwa! Mówił dalej:

— Przecież nie Joe Duncana, który mi dał swe nienawidzone nazwisko, lecz ciebie, coś dał mi życie, muszę przeproszać za swą głupią namietność dla tego nikczemnego stworzenia, Łucyi Weill!

...Kpiłem sobie w tej chwili z Łucyi Weill! Chodziło teraz o Z... i nie chciałem, by rozmowa nasza powróciła do dawnego tematu. Teraźniejszość nie mniej była dla mnie bolesna od przeszłości.

— A tę groźbę... zabicia ciebie — zapytałem — starał się twój pacjent wykonać?

— Nie jeszcze! Jestem mimo to przekonany, iż nienawidzi mnie ze wszystkich sił!

— Naprawdę?

— Tak, jak jestem przekonany, iż za trzymanie go w klinice odczuwa dla mnie bezgraniczną wdzięczność.

— Jakże można pogodzić te dwa uczucia?

— Właśnie to wypływa z jego zboczenia, nie normalności... Ciągłe ta forma przejściowa i wątpliwa!

— Udawanie szaleństwa i prawdziwe szaleństwo?

— Tak... Mam jednak już tego dosyć!... Nic więcej ciekawego nie spostrzegam u niego!... Rzeczywiście, może mi sprawić wiele kłopotów... Pójdę jutro do jednego z mych kolegów, który uwolni mnie od niego... Nie chcę, by przestraszał mą ukochaną Ewelinę!

Przy słowach tych William wstał od stołu, poprawił w lustrze krawat i kamelię, przyjrzał się sobie i zamierzał już odejść.

Złożyłem swą serwetkę i rzekłem obojętnie:

— Mój drogi Williamie, chciałbyś ty zrobić mi wielką przyjemność?

— Wszystko zrobię, czego tylko zapragniesz! Rozporządzaj mną a ja ci będę posłuszny!

— Dziękuję ci za twą gotowość drogie dziecko! Czy mógłbyś niewykonać swego zamiaru i zatrzymać u siebie Z...?

William zawahał się.

— Nie zrozumiałeś mnie dobrze... mówiłem o nieprzyjemnościach, jakich mogę doznać od policyi?

— Tak! tak!... Czy chcesz przez miłość dla mnie znieść te nieprzyjemności?

— Czy ten nieznajomy naprawdę cię interesuje?

— Nie interesuje mnie lecz intryguje. I gdybyś rzeczywiście usunął go ze swego zakładu, sprawiłbyś mi przykrość.

— Och! — roześmiał się William — jeżeli, drogi Brentano, zaczynasz mówić takim tonem, jeżeli chcesz zająć się doświadczeniami psychiatrycznymi, to ci oddaję tego Z...! Zgoda! Baw się nim!... Zachowaj go dla siebie!... Nie uważam go za niebezpiecznego, ale na wszelki wypadek zwracam twą uwagę! Nie rękę za niego.

I William, pożegnawszy się ze mną, wyszedł pospiesznie.

Gdy pozostał sam w sali jadalnej, nie mogłem opanować swej radości na myśl, że wkrótce zobaczę się z Polidorem. A więc nie wymierzył on sobie sprawiedliwości, jak to utrzymywał krótkowidzący Marcadian i zupełnie ślepa policya. Polidor jak i jego ojciec zdołał zwieść wszystkich i w jakiś cudowny sposób uniknąć głupiego wymiaru kary!

Nie starając się nawet domyśleć powodu jego symulacji, cieszyłem się tylko, iż go odnalazłem. Przypomniałem sobie jego własne słowa: „Czyż samobójstwo byłoby dostateczną karą“? A może, przyszło mi na myśl, to dobrowolne uwięzienie się w domu waryatów jest właśnie karą, jakiej sam się poddaje za morderstwo matki? Lecz jednocześnie prawie zrodziła się we mnie nowa myśl, czy on przypadkiem w tym domu zdrowia nie szukał bezpiecznej ucieczki przed pościgiem, jaki za nim urządzono?... Ja nie uwierzyłem jak William w jego szaleństwo erotyczne... Mógł udać najrozmaitsze objawy szaleństwa przed człowiekiem nauki, który ma pretensje do nieomyślności, nie udałooby mu się jednak oszukać swego ojca, który czynił to samo, co i on.

William Duncan wytłumaczył mi powody, dla których przyjął go do swej kliniki i w niej zatrzymał, pobudki jednak, które spowodowały zabójcę do tego domu, pozostały dla mnie jeszcze niewyjaśnionymi. Postanowiłem natychmiast udać się do celi nr. 13 i korzystając z nieobecności lekarza, zażądać o Z... wyjaśnień, które był mi winien Polidor.

Zadzwońnię na służącego i kazałem się zaprowadzić do trzynastej celi... Służący zawahał się...

— W nieobecności pana doktora — odpowiedział mi z szacunkiem — muszę zwrócić uwagę, iż tam może grozić niebezpieczeństwo.

— Niema żadnego niebezpieczeństwa ani dla mnie, ani dla chorego. Proszę zrobić to, co mówię i uwolnić mnie od swych uwag...

Służący skłonił się w milczeniu i zaprowadził mnie do pawilonu.

— Czy mam zostać się dla pilnowania Z...? — zapytał się dozorca.

— Nie potrzeba! Proszę nas zostawić samych! Odkręcił guzik od przewodu elektrycznego i cęła napełniła się światłem. Z... podniósł głowę z nad stołu i poznał we mnie gościa, którego widział przed obiadem.

— Ach! pan Brentano! — zawołał — Czegóż pan chce ode mnie?...

Dozorca stał ciągle na swym miejscu, obawiając się nowego napadu Z...

— Pan może odejść — rzekłem mu.

Cofnął się tyłem i zamknął za sobą drzwi.

Dla ostrożności zatrzasnąłem za nim i drugie drzwi, obite materacem, aby przypadkiem nikt z korytarza nie mógł podsłuchać naszej rozmowy.

Z... uśmiechał się beztrosko, kiwając w dół opuszczoną głową i zapytał znowu:

— Po co się pan tu przywlokł?

Patrząc na niego uważnie, wypowiedziałem powoli i dobitnie te słowa:

— By cię uściskać, Polidorze!

Widziałem w swoim życiu już wiele osób przejętych nagle wzruszeniem, miałem sposobność przyglądania się zdumieniu, malującemu się na twarzach ludzi mi bliskich i obcych... Miałem przed sobą w dzień zbrodni obraz omdłonej z przestachu Eweliny, lecz nigdy, nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się patrzeć na tak kompletne osłupienie, jakie ogarnęło Polidora przy moich słowach.

Zbladł i tak się zaczął trząść, iż nie mógł ustać na nogach, lecz opadł bez sił na łóżko. Przeraził go głos jego ojca, który jednak wychodził z ust obcego mu człowieka, o twarzy przeartej kwasem, jakiej nigdy nie spotykał w swym domu rodzinnym. Siadłem koło niego na łóżku i rzekłem mu łagodnym głosem:

— To prawda, Polidorze, że staliśmy się dla siebie jak dwie zagadki... dwie żywe tajemnice, które wszyscy uważają za umarłe. Przypatrz się jednak muszę, iż mimo, że tajemnicę twą poznał twój wuj i siostra, jest ona więcej wzruszająca niż moja.

Polidor z wolna uspokajał się i tłumionym jeszcze przez wzruszenie głosem zapytał:

— Lecz dlaczego ty, ojczu, jesteś tutaj? Dlaczego, ukochany ojczu, widzę cię w tak zmienionym stanie?... Kto cię tak zeszedł?... Powiedz!... Mów!... Wyjaśnij mi wszystko, błagam cię.

— Uspokój się mój synu... Nazywam się obecnie Jonatan Brentano i jestem obywatelem amerykańskim... a co się stało Brentanowi, nie powinno cię interesować... Również jak i ty palam ciekawością dowiedzieć się, co się z tobą działo od chwili, gdyśmy się rozeszli... Ja cię więc pytam: „synu mój, dlaczego jesteś w domu zdrowia Williama Duncana?“

Polidor otarł drżącą ręką swe czoło z potu.

— Ach! — westchnął żałośnie — wiem o co ci chodzi. Chcesz wyrwać mi tajemnicę moją!... W tym też celu przychodził tu Marcadian z Ewelina! Jakżeście się dowiedzieli, że jestem tutaj?...

Patrzył na mnie swymi błędnymi oczyma i po chwili odezwał się:

— Już wiem teraz!... Od Łucyi dowiedzieliście się wszystkiego!... Ach! nędznica!... Gdzie ona jest?

— Łucya? Jaka Łucya?

— Łucya Weill.

Polidor mógł mi opowiedzieć o sobie wiele przeżytych rzeczy i tylebym zachował zimnej krwi, iż ani drgnąłbym, lecz gdy usłyszał z ust jego nazwisko Łucyi Weill, zamordowanej przez milionera, jakieś przerażenie ogarnęło mnie.

Co za związek może być między Łucyą Weill a przebywaniem mego syna w tym domu?... Przez chwilę zdawało mi się, iż mi się to śni tylko, iż tracę przytomność... I ja podniosłem rękę do czoła i stariem z niego pot... Jakies drżenie wstrząsało całym mem ciałem...

— Kto jest ta Łucya Weill? — zapytałem przeżony.

— Więc ty nie wiesz?... Więc naprawdę wy nie wiecie?... Dobrze, powiem ci wszystko!... Ach! ta nędznica! ach, podła!... Tak, z powodu tej Łucyi Weill zamordowałem matkę!

— Czyś oszalał, Polidorze! — zawołałem zdumiony...

— To samo mówi i ten głupiec William Duncan!... Nie, jam nie zwariował, lecz wtedy byłem szalony...

Nagle popłynęły mu z oczu łzy i zakrywając sobie twarz rękami, zaczął łkać żałośnie.

Objąłem go czule ręką za głowę i przycisnąłem go serdecznie do swej piersi...

— Mów, moje dziecko... — zachęcałem go. — Mów, bo z mej strony niczego bać się nie potrzebuje...

Podniósł czoło do góry i uśmiechnął się do mnie przez łzy...

— Ach! ty nie wiesz, co to znaczy tak kochać kobietę, jak ja kochałem Łucyę Weill... W romansach tylko spotyka się takie wyrażenie: „Kochać aż do zbrodni“, lecz wyrażenie to jest prawdziwe... Już od pół roku starałem się o Łucyę Weill...? Ona była bardzo znaną w Dzielnicy Łacińskiej... Znali ją wszyscy studenci... Wiadomym był jej związek z Williamem Duncanem... Wszyscy za nią przepadali!... Żebyś ty, ojczu, ją znał!... Była piękną, była nieskończenie piękną!...

Przy słowach tych na twarzy nieszczęśliwego mego syna zamalował się jakiś błysk radości, jakaś ekstaza, której nie umiał ukryć... Przerwał na chwilę, potem mówił dalej:

— Kochałem ją od wiosny, lecz daremne były me starania o nią... To dziewczyna, dla której potrzeba było mieć pieniądze!... Wiadomo było w Dzielnicy, iż oślepiiony swą namietnością, miał ją poślubić William Duncan!... I wszyscy go żałowali, a ja jeden tylko zazdrościłem mu!

Opanował go silny kaszel, po ustaniu którego mówił znowu.

— Nie znasz Łucyi Weill, mój ojczu!... Ach! gdybyś ty znał to złe i nikczemne stworzenie!... Ach! co za tyniczna dziewczyna!... Gdy pewnego wieczora prosiłem ją czule w restauracji, odpowiedziała mi bezwstydnie: „Nie jesteś gorszy od innych... ale u mnie już taka norma... Możesz się zgodzić lub nie... Bez pięciu luidorów nic z tego!“

Teraz już nie mogłem wytrzymać, spokój mnie opuścił. Odepchnąłem jego rękę i zawołałem oburzony:

— Ach! łajdaku i dla takiej podłej dziewczyny zabiłeś swą matkę... W jakież błoto, w jakiz gnój musiała się zamienić twa dusza; iż byłeś zdolny do tego!

— Zdaje mi się, odpowiedział cicho Polidor, że w takim wypadku w człowieku jest dwóch ludzi i jeden nie odpowiada za drugiego.

Po tej uwadze jego ustało me oburzenie... Z lietością spoglądałem na niego... Po chwili milczenia zapytałem go znowu:

— Lecz powiedz mi, co potem robił?

— Potem?... potem już nic szczególnego się nie stało... Tyś mui, ojczu, zostawił możność wyboru między samobójstwem a zniknięciem... Gdybym słuchał tylko pierwszego człowieka, który jest we mnie, dokonałbym samobójstwa, zbyt jednak byłem nikczemny, by nie iść za radą drugiego, zakochanego szaleńca w Łucyi Weill!... Napisałem wiadomy ci już list do sądu, by zmylić za sobą ślady!... Pięć luidorów, któreś mi dał, zużyłem na kupno tego ubrania, swoje zaś dawne złożyłem na brzegu Marny